



Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej.
Środowisko Wileńskie w Warszawie

Hipolit Alesionek „Andż”, „Piorun”, „Hans”

**ODDZIAŁ
SAMOBRONY
„7. BRYGADA WILHELMA”
NA WILEŃSZCZYŹNIE
OD WRZEŚNIA 1944 DO SIERPNI 1945 R.**

Warszawa 2008 r.
Wydanie II

Z rękopisu Autora przygotowali :
Wacław Dziewulski „Wacek”
Janusz Bohdanowicz „Czortek”

Tekst uzupełniono fotografiami, mapą terenu działania
Oddziału z archiwum własnego.

Korekta Ewa Chyża-Dunowska

Adres kontaktowy. Janusz Bohdanowicz
02-647 Warszawa ul. Bachmacka Nr 4 m 66
Tel. 22-854-05-23, kom.662 -249-166
E-mail: janusz40@poczta.onet.pl

Biogram żołnierza

- Oddziału Partyzanckiego „Żuka”,
- 7. Brygady AK „Wilhelma”,
- Oddziału Samoobrony 7. Brygady AK.

Hipolit Alesionek „Andź”, „Piorun”, „Hans”, urodził się 29.11.1919 r. (jako syn Romualda i Genowefy) w miejscowości Świła (pow. Święciany). Wykształcenie średnie humanistyczne oraz pomaturalne kursy zawodowe.



*Hipolit Alesionek „Andź”
Piorun”, „Hans”
Fotografia z 1940 r.*

W 1939 r. niespodziewanie stał się radzieckim poborowym, ale do Armii Czerwonej „nie udało się im (go) zapędzić”. Od początku okupacji niemieckiej współpracował ze swym kolegą Hipolitem Mituniewiczem „Robertem” – łącznikiem konspiracyjnej organizacji ZWZ. „Andź” został aresztowany przez niemieckie gestapo i przesiedział 7 miesięcy w więzieniu (listopad 1941 – czerwiec 1942) – początkowo w Święcianach, a następnie na Łukiszkach w Wilnie,

skąd wykupiła go rodzina. Po wyjściu z więzienia poprzysiągł, że ani Niemcy, ani Rosjanie po raz drugi „nie

wezmą go żywego”. Nie mógł mieszkać w domu rodzinnym – ukrywał się, pracował, uczył się obcych języków...

W 1943 r. w lasach Wileńszczyzny ukrywało się coraz to więcej uzbrojonych mężczyzn. W Puszczy Rudnickiej kryły się grupy partyzantów radzieckich kierowanych przez Moskwę i bandy o zróżnicowanym składzie. Rabowały i maltretowały one miejscową ludność. Pojawienie się zorganizowanych Oddziałów AK w zasadniczy sposób ograniczyło zbrodniczą samowolę zarówno lokalnych władz litewsko-niemieckich jak i uzbrojonych grup leśnych.

Hipolit Alesionek – po złożeniu przysięgi wojskowej w dniu 10.11.1943 r. – razem z „Robertem” zostali żołnierzami



Jan Czerwiński „Żuk”

Oddziału Jana Czerwińskiego „Żuka”. Jako celowniczy – wymontowanego z czołgu, 72-strzałowego karabinu (ważącego 16 kG), nazywanego popularnie „Kaśka” – skutecznie przyczyniał się do ograniczania agresji ze strony radzieckich partyzantów i do rozpraszania różnych band leśnych.

W końcu stycznia 1944 r. radzieccy partyzanci w rejonie Świącan szukali „Andża” aby go zabić, ale on w tym czasie walczył już w rejonie Puszczy Rudnickiej.

Zamordowali więc jego brata Jarosława. „Robert” zaś, wysłany przez kpt. „Czarnego Jana”, w okolice Łyntup został tam zamordowany przez leśną bandę sowiecką.

W lutym 1944 r. Oddział „Żuka” został włączony do 7. Brygady AK. Podczas akcji na niemieckie bunkry w miejscowości Wielkie Pole „Andż” wyniósł z pola walki ранego „Lolka”. Na skraju Puszczy Rudnickiej celowniczy „Kaśki” dosięgnął dowódcę partyzantki radzieckiej (Białobrodowa), który „ogromną siłą ludzi i broni” zaatakował miejsce postoju 7. Brygady. Dzięki temu mordercze natarcie załamało się.

Dnia 18.07.1944 r. w czasie wycofywania się 7. Brygady ze wsi Bogusze do Puszczy Rudnickiej we wsi Piłokańce została ona okrążona przez regularne oddziały wojsk NKWD. Po rozbrojeniu, aresztowaniu i osadzeniu żołnierzy 7. Brygady „Wilhelma w Miednikach Królewskich rozpoczęła się penetracja NKWD w celu identyfikacji dowódców i kadry oficerskiej. Część osób zagrożonych zdołała uciec z obozu. Dnia 28.07.1944 r. wszyscy żołnierze – pod silnym konwojem wojsk NKWD – zostali przeprowadzeni do stacji kolejowej Kiena i załadowani po 45 osób do całkowicie pustych wagonów towarowych o zakratowanych i zadrutowanych okienkach, bez otworów w podłodze umożliwiających załatwianie potrzeb fizjologicznych. Na drogę suchy prowiant: suszona ryba, suchary. Drzwi zamknięto. Upał bez wody. Zaczęły się choroby żołądkowe.

Od tego momentu rozpoczyna się opowieść Hipolita Alesionka.

**Dalsze losy AK na Wileńszczyźnie
po rozwiązaniu w dniu 18 lipca 1944 roku
we wsi Piłokańce.**

Kiedy dojechaliśmy po rozbrojeniu brygady Armii Krajowej przez wojska radzieckie i NKWD, w lipcu 1944 roku do Smoleńska byłem ja oraz innych 16 kolegów z całego transportu w zatłoczonych wagonach na stacji Smoleńsk. Wyrzucono nas na peron i przekazano miejscowemu NKWD i szpitalowi wojskowemu w Smoleńsku.

Byliśmy bardzo chorzy z gorączką, z rozstrojem żołądka i całego organizmu. Chodzić o własnych siłach nie byliśmy w stanie. Sanitarkami zawieźli nas do szpitala wojskowego i rozmieścili w namiocie z podwójnymi łózkami. Zaopiekowały się nami siostry szpitalne i lekarze (żydzi z Wilna), a jeden z nich poznał 1-go z naszych, jako swego sąsiada z Wilna i to co On mu wyjaśnił, wystarczyło aby nam uwierzono, że faktycznie jesteście żołnierzami polskiej Armii Krajowej.

Żywność była wg stanu naszego zdrowia bardzo dobra. Leków nam nie żałowano, nawet amerykańskich. W ciągu 3 tygodni już zaczęliśmy się ruszać. Wyprowadzono nas na miasto i do parku pod opieką sanitariuszek, a w pobliżu w cywilu NKWD. Byliśmy w kinie szpitalnym, gdzie na naszą prośbę wyświetlili film „Wesołyje Rebiata”, za co nam publiczność serdecznie dziękowała oklaskami, bo mówili, że są tu filmy tylko wojskowe.

Po czterech czy pięciu tygodniach zabrali nas na samochód i wywieźli za miasto 5 km do obozu dla Esesmanów i usiłowano nas tam zostawić, lecz to im się nie udało. Na drodze, na wprost za bramą, stanął lekarz (też żyd z Wilna) i oświadczył ...”tu Polaków nie przyjmuje się”. Wróciliśmy na stare miejsca, ale nie zupełnie, bo teraz ułożono nas w sali szpitalnej po oficerach.

Po tygodniu znowu na samochód i do tego samego szpitala Esesmanów. Eskortą odsunęła strażników i wepchnęła nas przez bramę na teren szpitala. Zjawił się ten sam lekarz i dyrektor szpitala. Po dość długiej kłótni, dyrektor oświadczył, że zadzwoni stąd do Moskwy i niech oni decydują.

Moskwa oświadczyła, że nie ma takiego prawa, aby partyzantów lokować do więziennego szpitala razem z Niemcami. Samochód wrócił pusty, a my pozostaliśmy przed szpitalem-obozem. Wówczas znajomy naszego kolegi lekarz, oświadczył, że według zalecenia Moskwy musimy wrócić do Smoleńska, do tego szpitala skąd nas przywieźli. Oświadczył jednak, że dyrektor i on będą odpowiedzialni jeżeli ktoś z tej grupy ucieknie. Daliśmy słowo partyzanta i ruszyliśmy sami bez żadnej eskorty do szpitala. W drodze śpiewaliśmy wszystkie piosenki marszowe i „Rozszumiały się wierzby płaczące”. Spotykana ludność Smoleńska owacyjnie nas oklaskiwała.

Po trzech dniach, w szpitalu zjawiła się wojskowa komisja poborowa. Wszystkich zakwalifikowali do Armii Czerwonej do 108 pułku w Kownie. Otrzymaliśmy na 7 dni prowiant i kazano nam czekać w szpitalu, skąd mieliśmy odjechać dużym transportem na zachód.

Nadszedł dzień wyjazdu w kierunku naszej ojczyzny, Wileńszczyzny. Mieliśmy jakąś nadzieję, że nie będziemy w Krasnej Armii. Myśleliśmy, że to jakiś podstęp, aby nas ulokować gdzieś na uboczu ZSRR i tam wykończyć.

Dojechaliśmy do Wilna. Transport z pojazdami i czołgami jechał dalej na zachód. Nas wysadzili w Wilnie i dali obstawę z 17 żołnierzy, w tym jedna sanitariuszka, ale też z karabinem. Przestraszyło to nas i wzmogło naszą czujność. Na odjazd do Kowna trzeba było czekać, dokładnie nie pamiętam, ale 4-6 godzin. Wyprowadzono nas na plac niedaleko dworca i tam kazano złożyć nasze tobołki, usiąść i spokojnie czekać. Ja tj. „Piorun”, tak mi się wydawało, mam opanowany język rosyjski więc mówię do chłopaków, że mam w głowie „fortele Zagłoby”. Może spróbujemy namówić naszą ochronę, aby całość lub grupa poszła z nami na Wileński słynny bazar. Wyjaśniłem, że może tam zdobędziemy jakieś jedło, owoce i piwa się napijemy. Oni dość długo się naradzali i oświadczyli, że pójda wszyscy z nami, tylko przy naszych tobołach zostanie sanitariuszka.

Chłopaki wyciągnęli biało-czerwone opaski i orzelki na furazerki. Szliśmy dwójkami. Armia Czerwona na chodniku obok nas. Kiedy weszliśmy na bazar przekupki, handlarze i ludność kupująca urządziła nam owacje i krzyk „nasi wracają” i od tego momentu zaczęto nas obdzielać czym kto mógł. Handlarze wrzucali do starego kapelusza pieniądze, ludność dawała masło, słoninę, wędlinę, kiełbasy, owoce i jagody. Napełniane koszyki stawały się pełne. Wojskowi byli zdumieni i zaczęli nas ponaglać, abyśmy już wracali na miejsce postoju. Po drodze ludność także nie szczędziła nam podarków. Byliśmy obławowani i bardzo zadowoleni. Obdzieliliśmy naszą eskortę bardzo hojnie.

I co dalej?

Zbieram naszą grupę przywódczą i stawiam wniosek, aby zebrane pieniądze przekazać oficerowi, który miał komendę nad grupą żołnierzy i nas wszystkich. Na początku absolutnie się nie zgadzał, ale moja perswazja w końcu go przekonała. Oświadczyłem, że to za dobre pilnowanie nas w czasie transportu ze Smoleńska. Zawołał dwóch podoficerów i poszliśmy na stronę. Tam przyjął pieniądze nie licząc ich. I teraz my czekamy czy „fortel Zagłoby” chwyci, czy nie. Po omówieniu z całą swoją ekipą oficer przyszedł do nas i pyta, gdzie tu w Wilnie jest dobry „restauran”? (restauracja). Jeden z kolegów pokazał, że to tam za tym pagórkem, jakieś 150 m. Oficer odlicza...” raz, dwa, trzy, cztery sa mnoj” (ze mną) i poszli. My czekamy co będzie dalej. Nie wraca więc następny wyznaczony liczy „raz, dwa, trzy, cztery i sa mnoj” i poszli. I jeszcze dwukrotnie następni liczyli do czterech i w końcu tylko została sanitariuszka, która tak sobie siedzi obłożona tobołkami wojskowymi i śmieje się do nas i mówi...” a dlaczego wy nie idziecie?”.

W naszych szeregach konsternacja, gdzie mamy iść? Ja i inni mówią...”każdy z was wie dokąd mamy iść, a jutro z rana da znać pod adres, którego teraz nie pamiętam, gdzie dowie się jaka jest sytuacja. Za pagórek szliśmy kupą, potem po 3-4 w rozsypance każdy poszedł gdzie chciał.

Nasza grupa 5-6 partyzantów poszła do znajomej jednego z kolegów gospodyni, która gościła czym mogła, pamiętam, że najczęściej było słoniny i wódki. Rano gospodyni wysłała 15-letniego chłopca na rozpoznanie co się stało z naszymi ochroniarzami. Wrócił dość szybko i powtórzył to co powiedziała mu gospodyni restauracji, że wszyscy po kolei upijali się do końca sił, a niektórzy zaczęli się awanturować i tłuc naczynia aż zadzwoniła do Wileńskiego NKWD. Przyjechali, otoczyli i wszystkich zabrali. Restauratorka nie słyszała żeby mówili coś o nas. Tylko

sanitariuszka co została pod dworcem kolejowym mogła ich zdradzić. Zastosowany fortel Zagłoby” udał się w całej rozciągłości. 17 partyzantów na 17 żołnierzy pilnujących nas i uzbrojonych udało się uciec bez strzału od przymusowego wcielenia do obcej nam armii.

Udałem się na punkt organizacyjny gdzie szybko sporządzono dokumenty. Obciąłem włosy i zapuściłem brodę. Nazwisko przybrałem Anzelm Wiernowski (ten z Nad Niemna), pozostałe dane bez zmian, tylko rok urodzenia 1904.



Teresa Czerwińska

Po krótkim przyjęciu pracy u cieśli. we wsi Biała - Waka Inspektor naszego Rejonu AK „Czarny Jan” poprzez łączniczkę Teresę Czerwińską, która przyniosła rozkaz stawienia się do dyspozycji Inspektora w majątku Bolesławowo, celem objęcia dowództwa nad dużą grupą młodzieży

dobrze uzbrojonej i aktywnie udzielającej pomocy młodzieży zabieranej do obcego wojska.

Ja udałem się pod znany mi adres w miejscowości Zaścianki – 10 km od Wilna. Tam był nasz punkt informacyjny u gajowego Jana Możejki, który współpracował organizacyjnie z Inspektorem „Czarnym Janem”. Jego syn Andrzej był po szkole budowlanej i pracował w miejscowości Nowa - Waka – budował tam domy i zabudowania gospodarcze z drewna. Tam się skierowałem po kawałek chleba. Zdałem egzamin u kierownika budowy, na cieślę. Pracowałem tam około dwóch miesięcy. Mój zarobek oddawałem gajowemu w Zaścianku który miał pięcioro dzieci.

Zainteresował się moją osobą Inspektor „Czarny Jan”, który przeprowadził wywiad czy rzeczywiście jestem jednym z tych siedemnastu ciężko chorych w transporcie do Kaługi, a w Smoleńsku wyleczony i uciekłem od eskorty w Wilnie, która wiozła nas do Kowna, czy gdzieś do obozu niedaleko Kowna, tego to nie wiem.

Po złożeniu relacji z pobytu w niewoli sowieckiej Inspektor wydał mi rozkaz objęcia stanowiska dowódcy oddziału Samoobrony 7 Brygady AK. Miałem zgłosić się do majątku Bolesławowo i objąć dowództwo nad 45-50 osobową grupą, która już tworzyła oddział dobrze uzbrojony i dowodzony przez ich kolegę. 90% tych chłopaków było synami tamtejszych ziem, wiosek i zaścianków. Większość była w wieku poborowym. Chronili się od pójścia do Armii Czerwonej.

Łączność między nowopowstałym Oddziałem, a Inspektorem kpt. Jerzym Bronikowskim „Czarnym Janem” utrzymywali Antoni Michniewicz „Tadeusz”,

Janina Czerwińska „Janka”, Jadwiga Czernicka: „Jadzia” i kilka osób których nazwisk nie przypominam.

Po złożeniu przysięgi, zaczęliśmy sprawdzać umiejętności – od marszu, ataku, ucieczki i dobrego zamelinowania się przed nieprzyjacielem do obchodzenia się z bronią: czyszczenie, smarowanie, strzelanie i zabezpieczanie broni. Nic nie umieli. Nie odchodzili do domu, bo nie było czasu na oddzielne ich przygotowanie.



*Ppor. Antoni Michniewicz
„Tadeusz”*



*Janina Czerwińska-Michniewicz
„Janka”*

Podzielono oddział na trzy drużyny i wytypowano drużynowych. Zalecono przybrać pseudonimy. Ja przyjąłem „Piorun”. Pierwszą próbą był atak na gminę Rudniki, gdzie następował pobór do wojska radzieckiego. Działo się to nocą. Budynek otoczono, wyprowadzono stróża i podpalano budynek wraz z całą dokumentacją poborową. Specjalnie robiono dużo hałasu, który tworzył wrażenie wielkiej siły ogniowej atakujących. Na drugi dzień podawano, że ataku dokonała grupa partyzantów w liczbie około 500 osób, a było nas około 40. W wyniku tego ataku następowały odwety ze strony wileńskiej NKWD.

A my w całym rejonie robiliśmy czystkę donosicieli, którzy dostali ostre lanie i ostrzeżenie żeby zaniechać wszelkich kontaktów z okupantem. W kilku miejscowościach rozpedzono zebrania NKWD, które namawiało młodzież, aby poszła do wojska i nie uciekała do partyzantów. Rozpoczęły się wyjazdy do Polski.

Organizacja i Oddział pomagały w uzyskaniu potrzebnych dokumentów na wyjazd do Polski ale nie w swoim rejonie. Musieli dojechać do dalszych punktów, a dojazdy były nawet po kilkadziesiąt kilometrów. Oddział stopniowo zmniejszał się ponieważ bardzo wielu młodych ludzi zgłosiło się do wyjazdu. Prawie w 90% zgłosiło się na wyjazd do pojałtańskiej Polski.

Oddział w dalszym ciągu atakował, gdzie tylko mógł. Rozbijał w niektórych wsiach zorganizowane przez NKWD oddziały „Istrybiteli”, które w dzień i w nocy szukały chłopaków w ich domach i u krewnych. Nasz oddział zmniejszył się po kilku tygodniach do 12 ludzi stałych i kilkunastu dochodzących do akcji. Na polecenie Inspektora „Czarnego Jana” na miejsce postoju wyszukano dużą i bardzo

dobrze uszykowaną łaźnię, która znajdowała się dość daleko od budynków mieszkalnych w Kajetaniskach. Właściciel tej łaźni został zabity przez Rosjan a jego dom spalono.

Z tej łaźni 12. osobowy oddział wyruszał na wykonywanie otrzymywanych rozkazów. Głównym zadaniem było przeciwstawić się poborowi młodych chłopców do Armii Czerwonej.

W tym okresie chowaliśmy się pod ziemią w bunkrach zarośniętych drzewkami. Nieraz przechodzili po naszym dachu z psami ale nigdy nas nie znaleźli. Inspektor „Czarny Jan” zdecydował, że musimy opuścić ten rejon i iść do Puszczy Rudnickiej.

W krótkim czasie, wspólnie z organizacją podziemia, uszykowaliśmy duże sanie i z niezbędnymi w puszczy narzędziami i materiałami do zbudowania dużego, na 50 osób bunkra, na wpół pod ziemią, przykrytego krzakami i drzewami. Ruszyliśmy w drogę. Na sztabówce wyznaczył punkt, gdzie ma być wybudowany bunkier i dwie ubikacje. Nie mieliśmy kalendarza.

W nocy ruszyliśmy w puszcze Rudnicką. Maszerowało 12-tu śmiazków z piosenką na ustach:

W zimowa ponurą noc,
poszliśmy w nieznaną dal,
z drewnianych chat, słomianych strzech
poszliśmy przelać młoda krew.
Tyś nas tak wychowała
zawsze wierni Tobie my
pradziadów krew
powstańców zew
ziściły nasze sny.
za wygnanie, męki i poniżenia,
za łzy matek i braci zmartwienia
i za własne cierpienia
poszliśmy przelać krew.
Ojczyzno kochana,
o Polsko kraju nasz,
Ty jesteś nam kochana
bo w nas, swych synów masz.

Tak maszerowaliśmy po śniegu do kolan, w drodze sprawdzaliśmy na sztabówce, czy właściwie idziemy w kierunku wyznaczonego miejsca. Po dwóch godzinach dobrnęliśmy do punktu, gdzie miał być wybudowany bunkier-schron. Wyładowaliśmy sanie i odprawiliśmy woźnicę, który przez całą drogę miał oczy związane chustą. Budowa bunkru - schronu trwała chyba 5-6 dni. W bunkrze było światło dzienne, drzwi ocieplane i prycze na 50 osób. Mieliśmy urządzenia kuchenne i sprzęt domowy, woda była z rzeki Mereczanki, jakieś 30 metrów od schronu.

Schron Oddziału Samoobrony 7 Brygady AK nazwaliśmy imieniem marszałka Józefa Piłsudskiego. Po tej ciężkiej pracy odpoczywaliśmy dwie doby. Żywność zapewniała nam miejscowa ludność mieszkająca na obrzeżach puszczy. Chowano ją w dyskretny punkt, skąd nasz kolega kucharz „Zajac” zabierał ją i przynosił do bazy.

Ponadto były majątki - sowchozy, gdzie można było zaopatrzyć się bez zgody dyrektora.

Trzeba szczerze powiedzieć, że opiekowała się nami organizacja podziemna i ludność polska za co Jej należałoby bardzo serdecznie podziękować. Oni też spełniali swój patriotyczny obowiązek. Bóg zapłać za to i stokrotne dzięki. Był jeszcze jeden punkt dostawy żywca – bydła. Rosjanie pędzili do Rosji ogromne stada, przeważnie krów, zagarniętych na ziemiach niemieckich i w polskich majątkach. Przebierało się 2-3 chłopaków w chłopskie ubrania i szło się do kierowniczkę spędu bydła, zabierało się słoninę i wódeczkę, a w zamian można było swobodnie wybrać najlepszą jałowkę na mięso do naszej kuchni. Z tych dostaw nawet obdzielaliśmy uciekinierów z miasta lub wojska radzieckiego jak również ludzi ukrywających się od wywozu na Sybir.

Ostrzegaliśmy też „Istrybiteli”, aby nie byli tak bardzo posłuszni NKWD. Powiedźcie we wsi, w której jesteście, gdzie Was mają pochować. Muszą wiedzieć, że my obrońcy ludności jesteśmy nieuchwytni, nas nikt nie widzi ani w dzień ani w nocy, a wymierzamy sprawiedliwość z nawiązką. Z każdym dniem lokatorów bunkra przybywało. Przysyłał ich do nas nasz Inspektor „Czarny Jan” lub jego zastępcy. Pod koniec marca było nas około 30. Zbliżała się wiosna – puszcza, to cudowne miejsce przebywania. Rzeka Mereczanka była pełna wody i ryb. Żaby rechotały, ptaki śpiewały, dosłownie raj na ziemi.

Przyszedł nowy rozkaz od Inspektora „Czarnego Jana”. Trzeba było jechać lub iść do oddalonego około 30 km na południowy kraniec puszczy do wsi, nie pamiętam nazwy, do brygady Łupaszki. Miałem oddać tam list od „Czarnego Jana” i odebrać odpowiedź od Łupaszki. Komendanta w brygadzie nie było. Był zastępca, który powiedział, że nie ma prawa dawać odpowiedzi na przyniesione pismo. Komendant Łupaszko sam w krótkim czasie udzielił odpowiedzi. Po przenocowaniu, w następną noc ruszyliśmy z powrotem do puszczy.

Chwilowo nie było nowych rozkazów. Miałem więc czas, aby zwiedzić pamiątkową mogiłę 3 krzyży w środku Puszczy Rudnickiej. Były to krzyże postawione z betonu przez społeczeństwo ziem wileńskich na cześć Powstańców (1831 - 1863). Jedno ramię trzeciego krzyża było haniebnie postrzelane, aż do widoczności żelaznych prętów. Mówiono nam, że to zrobili partyzanci armii czerwonej, w tym czasie jak Niemcy popędzili ich czerwona armia aż pod Moskwę. Nasza grupa partyzantów w sile 10 osób, wykonując historyczne odwiedziny AK, zamówiła pacierz za wszystkich powstańców lat 1831-1863, którzy zginęli w Wilnie, na ziemi wileńskiej oraz w Puszczy Rudnickiej. Zapaliliśmy świece. Odśpiewaliśmy hymn Polski i oddaliśmy trzykrotną salwę honorową. Na koniec zaśpiewaliśmy modlitewną pieśń:

„O Panie, któryś jesteś w niebie,
wyciągnij sprawiedliwą dłoń
wołamy ze wszech stron do Ciebie
o Polska moc i Polską broń
o Panie, skrusz ten miecz co siekł nasz kraj
do wolnej Polski nam powrócić daj

by stał się źródłem nowej siły
Nasz dom, nasz kraj
o Panie, usłysz prośby nasze
wysłuchaj nasz tułaczy śpiew
z nad Willi, Niemna, Bugu, Sanu
męczeńska do Cię woła krew
o Panie skrusz ten miecz, itd.

Droga do 3. Krzyży była bardzo ciężka. Trafiliśmy tam dzięki gajowemu, który bardzo dobrze znał te ścieżki. Nasz przewodnik prowadził nas dalej przez bagna i trzęsawiska w głąb puszczy. Doszliśmy do centrum puszczy gdzie już od 1941 roku była wielka baza radzieckiej partyzantki z dużym zgromadzeniem uciekających oficerów i podoficerów armii czerwonej od błyskawicznego ataku wojsk niemieckich. Po porozumieniu Ribbentrop - Mołotow i ustaleniem granicy z Niemcami puszcza była po stronie radzieckiej. Tam to więziono wszystkich przeciwników władzy radzieckiej. Nasz przewodnik był w tym obozie i opowiadał jak okrutne tam stosowano środki do przyznawania się lub poinformowania o przeciwnikach Związku Radzieckiego. Pokazywał jeszcze nie zakopane, głębokie doły z żółtego piasku ok. 100 na 50 metrów wielkości, gdzie wpychano aresztowanego i zasypywano po szyje piaskiem. Znęcano się na wszystkie sposoby od mrówek, os aż do węży. Powiedział, że zabijano strzałem w głowę i wrzucano w głębiny bagna. Opowiadał jeszcze wiele innych szczegółów, ale ich nie pamiętam. W obawie, czy nie ma tam ukrytego punktu obserwacyjnego szybko wycofaliśmy się i inną drogą wróciliśmy do naszej bazy.

Były też, w naszej bazie, miłe i radosne chwile. Na Zielone Świątki przyjechał do nas Inspektor „Czarny Jan” z małżonką i jego współpracownicy z organizacyjnych grup, które pomagały nam w utrzymaniu bazy i jej działaniu. Święto było bardzo dobrze przygotowane. Stoły były pełne jedzenia i trunków. Była gitara i śpiew. Był to jeden z weselszych dni życia z dala od domu i rodziny. Przy zachowaniu wielkiej ostrożności, kiedy było już ciemno, goście rozjechali się do swych domostw.

Po kilku dniach przybyła do nas z poleceniem od „Czarnego Jana” 15 osobowa drużyna Polaków spod Kowna i okolic. Uzbrojenie mieli bardzo rozmaite. Był długi karabin z okresu powstania, ale mieli też niemieckie ręczne karabiny maszynowe LG 49 (chyba tak się nazywał). Zostali rozbici i część przedostała się pod Wilno, bo tu ich kierowano na obrzeże Puszczy Rudnickiej. Chłopcy z pod Kowna pięknie modlili się, a jeszcze piękniej śpiewali:

„Ojczyzno kochana,
o Polsko kraju nasz,
choć jesteś nam nie znana,
lecz w nas swych synów masz”.

Sytuacja była bardzo napięta. NKWD szalało w pomysłach wyłapywania Polaków, szczególnie w wieku poborowym. Szły łapanki za łapankami na czele z psami.

Na początku lipca przybyli do nas przedstawiciele byłej AK z Wilna, którzy z polecenia Rządu Londyńskiego opiekowali się oddziałami Samoobrony AK, których na terenie Wileńszczyzny było kilka. Przedstawili swój plan wymarszu Oddziału do Polski (Ludowej). Trochę przywieźli pieniędzy na drogę, dokumenty i karty repatriacyjne.

Kiedy zaproponowali przyjęcie dokumentów i kasy na drogę i na zagospodarowanie w Polsce oraz prowadzenie całego oddziału łącznie z przybyłymi z Litwy partyzantami, wstałem i oświadczyłem, że nie mogę tego przyjąć bo jestem dowódcą tylko tej grupy, która stale jest w naszym schronie. Dodałem, że w gronie przybyłych do nas są też oficerowie, którzy na pewno nie będą zadowoleni, że tak duży oddział prowadzi zwykły partyzant. Były długie opory, ale byłem nieugięty. Oświadczyli, że zgodzą się jeżeli podam im kto jest godny tego stanowiska. Zgodziłem się i podałem por. Władysława Janczewskiego „Laluś”, który przyszedł do nas po rozbiciu ich Oddziału w Okręgu Nowogródzkim.

Zawołali go. Był bardzo zaskoczony ale w końcu zgodził się i objął stanowisko. Przejął dokumenty i kasę z obowiązkiem uczciwego ich zagospodarowania. Ja się odmeldowałem. Miałem zostać adiunktem – zastępcą por. „Lalusia”.

Dowiedziałem się od wysłannika Inspektora, że nasz agent donosi, iż prawdopodobnie , za 3-4 dni, NKWD zamierza rozpocząć generalne natarcie na rejony Puszczy Rudnickiej, z dokładnym przeszukaniem całej puszczy, wyseppek i bagien.. Zameldowałem o tym nowemu dowódcy, który postanowił, w tajemnicy przed całym oddziałem, że wymarsz nastąpi jutro nocą (tj., tak mi się zdaje, około 15 lipca 1944 roku).

Kiedy jednego dnia odpoczywaliśmy w jednej bogatej zagrodzie, zgłosił się do nas cywil i zawiadomił, że jakieś 3 km stąd stacjonuje litewski partyzancki oddział. Pytam go jak się nazywa Dowódca, a on mówi, że Vitas Cypenas i że chce się spotkać z naszym dowódcą. Jak siedziałem w święciańskim więzieniu w celi nr 15, słyszałem rozmowę strażnika, który mówił, że tu blisko Święcian na skraju lasu, grasuje oddział partyzantki i oni są partyzantką walczącą o niepodległą Litwę. Nie chcą znać Litwinów, którzy sprzyjają władzom radzieckim lub hitlerowskim i wzywają Litwinów do walki o wolną i niepodległą Litwę. W tym czasie Litwą władali Niemcy hitlerowskie. Zgodziliśmy się, z dowódcą na to spotkanie na naszym dziennym postoju.

Przybył szybko w asyście dwóch partyzantów. Od razu poznałem tego Litwina Cecenesa. Przed wojną bywał u naszych sąsiadów jako student w gościnie. Zapytałem go, gdzie przed wojną gościł na Wileńszczyźnie podczas lata. Powiedział, że w Świle. Ja też mieszkałem w tej wsi. Razem z moim szwagrem uczył się w seminarium duchownym w Święcianach. Ani mój szwagier ani Dowódca litewskiej partyzantki nie zostali księżmi. Obiad-uczta była wspaniała, była mowa, hymny obu krajów i serdeczne pożegnanie.

Na drugi dzień, już od rana, zaczęliśmy likwidować naszą kochaną bazę. Trzeba było zniszczyć wszystko co nie dało się zabrać w drogę. Siatka organizacji już była w pogotowiu, aby sprawnie przeprowadzić 50. osobowy oddział do Polski pojałtańskiej.

W tej grupie, o ile sobie dobrze przypominam, było około 10 kobiet. Były to sanitariuszki z brygad i łączniczki sztabowe, które nie mogły jechać pociągiem do Polski. Oddział ruszył w drogę około 22. wieczorem.

Według planu po 30 km miał być odpoczynek. Po 8 dniach dotarliśmy szczęśliwie do granicy z Polską pojałtańską. Tuż przed granicą (1-2 dni) 2, kolegów zlekło się przejścia granicy i rozłąki z rodzinami i stojąc na warcie, w biały dzień, uciekli. Poszukiwania nie dały żadnych rezultatów. Prawdopodobnie uciekali szybko ponieważ nie posiadali broni. Nikt nie wiedział w jakim kierunku mogli pójść. Trzeba było maszerować dalej.

Do granicy dotarliśmy nocą około 25 lipca. Przewodnicy prowadzili nas bardzo dobrze. Noc była bardzo ciemna. Powiedzieli, że będą nas eskortować, aż do niewielkiej odległości od granicy.

Przechodziliśmy granicę o 8 m szerokości, ziemia za bronowana tak, że widać każdy ślad. Idziemy stąpając na jeden ślad cicho i powoli. Wszyscy przeszliśmy granicę ZSRR i PRL. Kobiety od razu odłączyły i zniknęły za krzakami, poszły w Polskę.

My natomiast zaszliśmy do jednej chałupy w Polsce napić się wody. Gospodyni poczęstowała nas bardzo ciemnym, razowym chlebem, mówiła, że codziennie piecze aby pomóc zgłodniałym uciekinierom z kraju sowieckiego. Ruszyliśmy dalej i doszliśmy po 2 km do bogatszej zagrody na śniadanie. Gospodyni udojone mleko i wielkie bochny chleba kazała rozdzielić między wszystkich głodnych.

Od razu rzuciliśmy się na jadło. Tylko wypiliśmy trochę mleka i zagryźliśmy kawałkiem chleba, a z pola do granicy radzieckiej, w dość wysokim zbożu, zaczęły wyłaniać się sylwetki konnych jeźdźców Armii Czerwonej i z podniesionymi automatami krzyczeli: „urra!, urra!”. Widzieliśmy, że to atak koński jedzie prosto na nas. Proszę sobie wyobrazić złość i nienawiść do tego, który tak głodnym, tak zdenerwowanym ludziskom przeszkadzał i to w naszej Polsce najazdami. Przejeżdżać granicę i przeszkadzać polskim chłopakom zjeść śniadanie!. Jeden tylko był rozkaz: tyraliera, dobre krycie i oszczędzać amunicję. Ja byłem na lewym skrzydle, a por. „Laluś” na prawym. Wstrzymać kontratak, aż do czasu, kiedy nadjadą na dobrą, celną odległość. Tak też się stało. Z wielkim hałasem i „urra!” pędzili na nas, a my spokojnie, cicho czekaliśmy i kiedy zbliżyli się na odległość 30-40 metrów padła komenda „ognia” i to raz prawa strona oddziału, a raz lewa. Wyglądało, że z naszej strony nastąpił intensywny i wielki ogień obstrzału. Konie padały i ułani ledwo podnosili się.

Odparliśmy atak, ale wiedzieliśmy, że to jeszcze nie koniec. Szybko wycofaliśmy się z tego gospodarstwa nie zjadając śniadania. Odeszliśmy jakieś 2 km w las, blisko lasów Białostockich i tam na polanie dalej konsumowaliśmy nasze niedokończone śniadanie. Szybko jednak okazało się, że w naszym kierunku idą dużą tyralierą. Rozdzielili się i poszli w las na prawą i lewą stronę. Zostaliśmy otoczeni. Komendant Władysław Janczewski „Laluś” podzielił oddział na 3 części. Lewym skrzydłem dowodził „Laluś”, środkiem drużynowy Witold Śliwiński „Mis”, prawym skrzydłem Hipolit Alesionek „Piorun” „Andź”. Wszyscy ruszyliśmy w głąb lasu aby dobrze się ukryć i czekać na atak. Innego wyjścia nie było. Po 15 minutach

usłyszeliśmy łomotanie się i szarpanie w leśnej gęstwinie czerwono - armiejców. Kiedy nadeszli na odległość strzału, padła komenda: „ognia!” My ich widzieliśmy, a oni nas nie i to była nasza przewaga. Po tym poczęstunku zawrócili na przegrupowanie, a my tylko na to czekaliśmy. Szybkim biegiem, wszystkie 3 grupy ruszyły na Moskała, ale cicho i w podskokach jak najbliżej nieprzyjaciela. I znów musieliśmy się bardzo dobrze zamaskować przed kulami. Kiedy podeszli troszeczkę za blisko naszego wypoczynku dostali takie lanie, że od razu zawrócili. Tak było na moim odcinku. Na odcinku środkowym ruszyli w pole goniąc nieprzyjaciela i strzelając. To był bardzo duży błąd tej grupy, ponieważ wpadli w zasadzkę i zginęli. Lewe skrzydło szybko wycofało się poza teren walki. My już nie wytrzymaliśmy tego hałasu i ruszyliśmy na nich, a w środku oddziału zobaczyliśmy wysokiej rangi oficera, który ryczał na nich: „wpieriod!” (naprzód). Ktoś z naszych krzyknął: „skierować ogień na oficera” i w kilka sekund już nie było słyhać „wpieriod!” i szybko strzały umilkły, a żołnierze wycofywali się z pod naszego obstrzału. Dałem rozkaz, aby przerwać ogień i zwołać zbiórkę w gęstwinie. W tej sytuacji trzeba było rozsypać się po 2-3 osoby i uciekać po cywilnemu do Białegostoku. Jeden tylko nie posłuchał. Uciekł od nas i ukrył się na drzewie. Podobno uratował się i wrócił do domu.

Przy mnie zostało 3 partyzantów. Ustaliliśmy, że pójdziemy tam skąd przyszły te tyraliery. Poszliśmy wyciętym zbożem jakieś 20 m i zza pagórka ujrzeliśmy następną tyralierę i to z psami. Natychmiast zawróciliśmy. Broń długą i automaty wyrzuciliśmy jako podarek chłopom od partyzantów z Puszczy Rudnickiej.

Gdzie uciekać jak na około, jak to chłopaki mówili, są ruskie. Trzeba się gdzieś schować. Idziemy do gęstego lasu i patrząc stoi tam dwumetrowy słup ściętej choinki a przy samym dole bardzo mocno rozłożyste, zielone, gęste i nie ścięte konary-gałęzie. Zapytałem czy ktoś ma mielony tytoń na psy. Odezwał się jeden i pokazał pudełko. Kazałem w odległości do 2 m od pnia, na około tej biednej jodły, obsypać proszkiem i wszyscy w czwórkę schowaliśmy się pod dolne gałęzie. Zamaskowaliśmy się i odbezpieczyliśmy pistolety do strzału. Nie wolno było kichać, ziewać, hałasować itd.

Czekaliśmy na napastników chyba ze 30 minut i po chwili usłyszeliśmy komendy: „prewieraj kusty!” („sprawdzaj krzaki”). Tyraliera szła dość gęsto, co 10-15m, psy biegły na przedzie, ale za daleko żeby zobaczyć w jaki sposób nas ominęły. Żołnierze przeszły koło naszego schronienia jakieś 5 metrów. Wtedy pomyślałem, że wojna już się kończy, a oni odsłaniając krzak pożegnali się z życiem. Już nikogo nie złapaliby ani nie zabiliby. Przeczekaliśmy tam do zmroku. Wstaliśmy i znowu poszliśmy tam skąd przyszła tyraliera.

Noc była bardzo ciemna. Weszliśmy w bardzo gęste krzaki i tam przespaliśmy aż do rana. Poszliśmy do gospodarza i powiedzieliśmy, że szukamy pracy przy koszeniu łąki. Dostaliśmy śniadanie, obiad i kolację. Rano ruszyliśmy dalej w kierunku Białegostoku. Doszliśmy do mostu na rzece przed Białymstokiem. Jak z pod ziemi wyrosło przed nami 3 żołnierzy. Chcieli od nas dokumenty. Każdy miał kartę repatriacyjną i powiedzieliśmy, że przyjechaliśmy 47 transportem i chcemy tu zostać i pracować, ale tu nie ma pracy więc musimy jechać dalej w Polskę. Nie chcieli nam uwierzyć.

Dokładnie się nam przyglądali. Ja nie wytrzymałem i tak jak umiałem po rusku zacząłem robić im wyrzuty: „co oni sobie myślą” Są gośćmi na naszej ziemi i męczą obywatele o jakieś dokumenty, których jeszcze nie mamy. Komendant chciał nas poczęstować papierosami ale my nie bierzemy nic od okupantów. Powiedzieliśmy, że mogą nas rozstrzelać, a nigdzie stąd nie pójdziemy. Przeprosili nas i powiedzieli żebyśmy szli tylko środkiem drogi, a nikt na tej trasie nas nie zatrzyma.

Odeszliśmy wniebowzięci. Dotarliśmy do kolejowych kas biletowych i biura zasiłku dla repatriantów. Wszystko otrzymaliśmy i każdy jechał gdzie chciał. Ja wybrałem Gdańsk i mieszkam tu szczęśliwie do tej pory.

Oddział Samoobrony "7. Brygady AK"

wrzesień 1944 do czerwca 1945

Kierownictwo Oddziału kpt. Jerzy Bronikowski „Czarny Jan „

Dowódca bezpośredni Hipolit Alesionek „Hans”, „Piorun”, „Andż”

Dowódca na okres przejścia z Puszczy Rudnickiej do Białegostoku ppor. Władysław Janczewski „Laluś:

szeregowi

Bartoszewisz Czesław „Wróbel „

Butkiewicz Stanisław „Szczupak „

Chmielewski Franciszek „Francuz”

Czernicki Jan „Janek”

Czerwiński Franciszek „Karaś”

Czerwiński Władysław „Rak”

Michniewicz Antoni „Tadeusz”

Śliwiński Witold „Mis”

NN „Zabawa”

NN „Orlik”

NN „Konrad”

NN „Junak”

NN „Szpak”

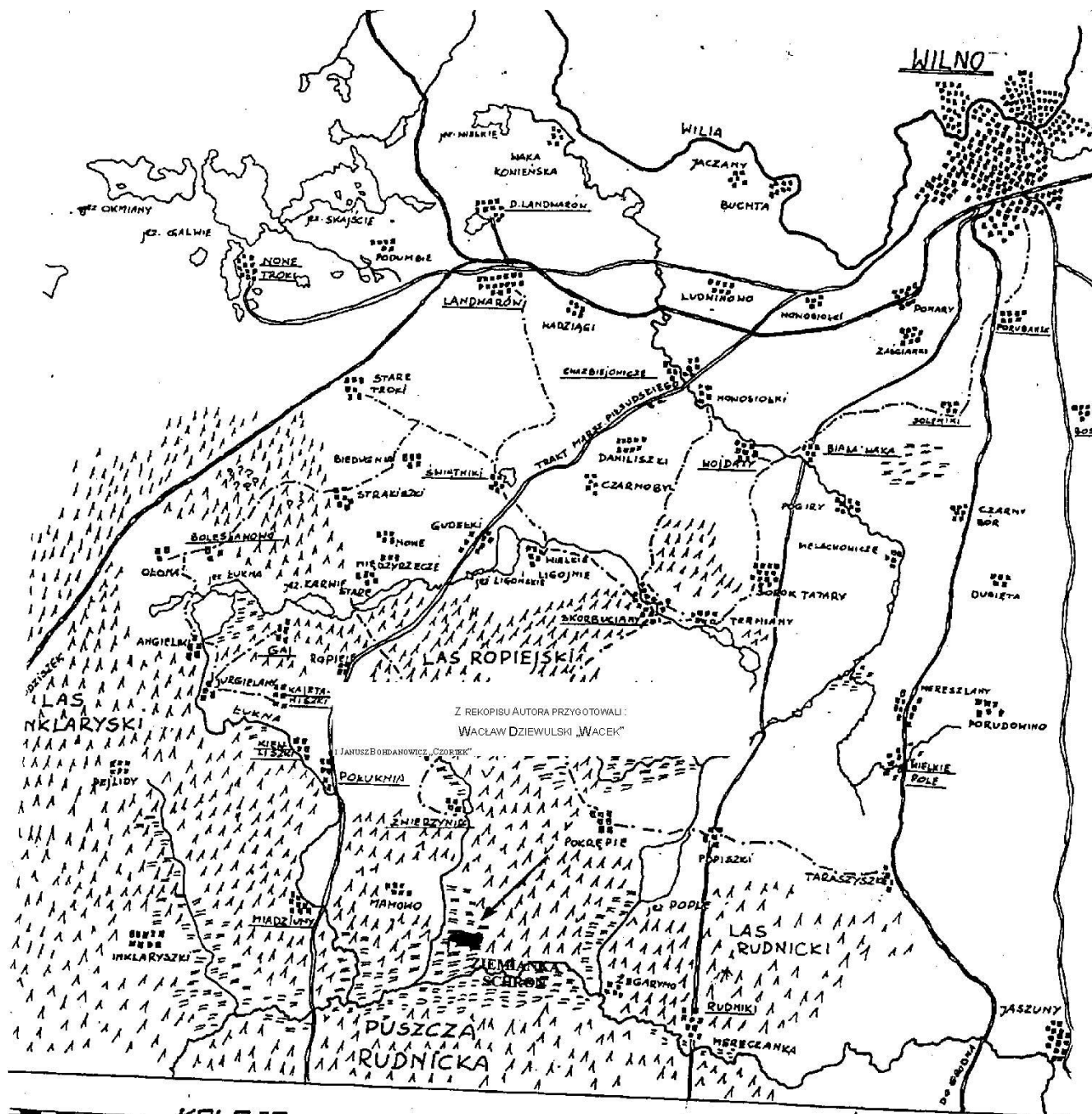
NN „Cygan”

NN „Lot”

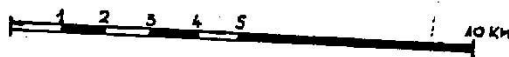
NN „Zajac”

W ostatnim okresie pobytu w Puszczy Rudnickiej do Oddziału skierowano około 25 żołnierzy, których ani nazwisk ani pseudonimów nie udało się ustalić.

USYTYWOWANIE BUNKRU – BAZY ODDZIAŁU SAMOOBRONY „7. BRYGADA WILHELMA”



- KOLEJE
- SZOSY
- DRÓGI
- RZEKI
- LASY
- BAGA



TERENY DZIAŁAŃ ODDZIAŁU SAMOOBRONY „7 BRYGADA AK”
w okresie wrzesień 1944 do lipca 1945